

WOJCIECH KASS

Wojciech Kass – ur. w 1964 r., w Gdyni od 1997 r.; poeta i eseista, pracuje w Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniu na Mazurach.

Jest autorem książki dokumentującej związki Czesława Miłosza i jego krewnych z Sopotem *Aj, moi dawno umarli* (STK 1996) oraz książki eseistycznej *Pęknięte struny pełni. Wokół Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego* (AWF Olsztyn 2004). Wydał tomiki poetyckie: *Do światła* (AWF Olsztyn 1999), *Jeleń Thorwaldsena* (Twój Styl 2000) – za które otrzymał nagrodę im. Kazimiery Iłakowiczówny i nagrodę Stowarzyszenia Literackiego w Suwałkach – oraz *Prószenie i pranie* (Iskry 2002), wybór wierszy w języku polskim i niemieckim *10 Gedichte aus Masurenland* (Versager – Verlag – Berlin 2003), *Przypływ cieni* (Iskry 2004), *Gwiazda glóg* (Iskry 2005), *Pieśń miłości, pieśń doświadczenia* (z Krzysztofem Kuczkowskim – Galeria Autorska 2006), *Wiry i sny* (Biblioteka Poezji Toposu 2008), *41* (Iskry 2010) oraz *Czterdzieści jeden. Wiersze i glosy* (w opracowaniu i pod redakcją Z. Fałtynowicza) poszerzone o dziennik poety z okresu pisania pieśni, komentarze krytyków i historyków literatury z lat 2010–2012 oraz pieśni, który nie weszły do tomiku *41* (Biblioteka Krytyki Toposu 2012).

Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i PEN Clubu. Stypendysta ministerstwa kultury (2002, 2008). Uehonorowany nagrodą Nowej Okolicy Poetów za dorobek poetycki (2004). Członek redakcji dwumiesięcznika literackiego „Topos”. Jego wiersze tłumaczone są na niemiecki, angielski, włoski, hiszpański, litewski, czeski, słoweński, serbski, bułgarski. W 2007 r. uehonorowany przez ministra kultury brązowym medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”, w 2011 „Sopocką Muzą” – nagrodą prezydenta Sopotu.

SIEDZIMY SOBIE TAK

Trop wilka, spojrzzenie kosa nielota,
Ktoś z ludzi źle ślepie otwiera i już nienawidzi,
Kobieta ma urodzić lecz biegnie lekka w pełni księżycy
Pod suknią.

To mogło być skośne ale w inną stronę,
W wierszu, co by nie było, trzymaj pion.

Pytasz, czego dziś pragnę –
Snu o białym kormoranie
Bo zobaczyłem czaplę pod słońce czarną.

A przeziębilem się od kuny,
Nadszedł lis i nazwał mnie po imieniu
I jak ty zapytał, czego dziś pragnie
Ćma w płonącym oknie.

Wody jeziorne, a na nich złote blaski,
Olchy bagienne – drewniane trzaski
Nie pytaj, czego pragnę,
Właśnie chmura pociemnia wiersz.

A rozwidnia zatokę, gdzie sunie żagiel
Tak spokojnie jakby w ogóle nie płynął
Znika za cyplem a ja nie stawiam kropki

Katastrofa nie pojawia się nagle.
Wpierw posyła zwiastuny,
One są znikliwe i zwiewne jak fantomy

Jak kręgi i błyski na wodzie
Jak zwierz dom porzucający z przeciągiem w pysku
Jak firanka, która się poruszyła
Jak chmura w twoim uśmiechu .

Co tu jeszcze robimy, droga
– Siedzimy sobie tak.

31 lipca 2012 r.

TYLKO ONE MNIE ROZPOZNAWAŁY

Przyszli do mnie grabarze
W pomarańczowych drelichach,
Wyciągnęli piły i ścinali drzewa.
Są zbutwiałe – mówiły piły
A ja pytałem, czy uśmiech może być wschodzącym słońcem.

Są zbutwiałe – mówiły piły
A tylko te drzewa mnie rozpoznawały,
Są zbutwiałe – mówili grabarze
A byli w tym lesie jak zachodzące słońca,
Dąb oddychający w moich płucach przestawał szumieć.

Ona w szpilkach zbierała maślaki i wkładała je do eleganckiej
kopertówki,
Ona robiła hi, hi, ha, ha, ale czy to był wschód słońca?
Ona opowiadała sprośne kawały,
On żarł, miał czerwoną mordę i spluwał.
O śmierci, co sądzicie – pytałem,
Ciężko jest zbyt lekko żyć.

Jutro nie będzie takie jak dziś, będzie jak jutro,
Wiruje sosnowa igielka, opada na wodę,
Ona dziko się śmieje i usiłuje
Wczepić paluszek w światło jak kotwicę.
Przejdzie tędy borsuk o świcie
Maczając łapy we mgle.

Przyszli do mnie grabarze na ucztę,
Żaden mnie nie rozpoznał.

14 sierpnia 2012

ZIEMIA

Jest głucha czy słyszy? Nie wiadomo
Ale potrzebuje harmonii. Dlatego śpiewaj
Złamanej gałęzi bo wyciąga rękę,
Ręce niewyciągniętej, może kiedyś zakwitnie

I rzece trącej brzeg i brzegowi, który trze rzekę,
Chmurze sunącej po niebie jak stodoła,
Mięsiestemu światłu i temu,
Który pogłaskał psa, a na ciebie warknął.

Radzę wnukowie: po prostu ziemi śpiewajcie,
Ona jest jak mysz w kosmosie. W bobrach
Gdy słyszą szmer wody budzi się instynkt
Budowniczych tam.

Pozostańcie wierni ziemi
Brzmią ostatnie słowa Nietzschego.
Jeśli jestem głodny, to jedynie ziemi i kamieni
Wyznał Rimbaud, inny prorok epoki.

A wy śpiewajcie wnukowie,
Może wszystko co straszne jest w gruncie
Nieśmiałe, bezbronne i oczekuje naszej pomocy,
Nawet szaleństwo i ludzka bestia,

Nawet rzeź i godzina śmierci
Ale wy śpiewajcie moi wnukowie
Z nadzieją, że w sercu tej bestii, tej rzezi
I ostatniej godziny zakwita fiołek.

ŻAR

Kobiety wstają i wkładają majtki .

– Słyszysz to plaśnięcie gumki o nagie biodro,
W którym dopiero co zaczyna krążyć krew
Jak połyskująca ciecz aut w otwartej żyłce mostu.

– Naparło na mnie to miasto jak sucha fala oceanu,
Światłem ospałym po nocy i jeszcze ciepłym
Jakby wylało się z nagrzanego parką z Tamki łóżka
Albo sypnęło z sierści psa, gdy pogłaskała go Sahara.

Ile teraz, w tej rannej godzinie, drzwi zamyka się
Na zawsze, ilu ludzi leży plecami pogardliwie do życia
Ile bram otwiera się na przestrzał, na przeciąg.
– Gong słońca wtargnie tu w południe i pokój zalśni jak staw.

A co wyśniło się, ocknęło, oderwało błądzi jak pijane
I szuka konturu samego siebie. Właśnie wróbelek wpadł w cień
Sąsiadki, która pije kawę na tarasie i zniknął głębiej.
– W jakim ciele to lśnienie i w jakim nasze znikanie.

SALUTE

Dla M.Cz.

Noc wychyla łeb,
Co za łeb jak cud,
Od rzeki powiew
I chłód, salute!

Jak jest to szelest
Jak jest to ból,
Szelestu i bólu
W bród, salute!

Pod przewodem atomu
Śpiewaj jak z nut,
Którędy minął
Mój Bóg? Salute!

Moja miłości
Jak listek estragonu,
Kiedyś byłem żyw
A teraz trup, salute!

Wolny, bezpański
Nie do wynajęcia,
Świat chce głaskania
O tu, i tu, salute!

Noc wychyla łeb
Ale w dłoni zamykam
Listek, porzeczkę, głóg –
Co za puls, salute!

O czułą łzę w kosmosie
I miłosny oddech –
To moja modlitwa
Prosta jak dukt, salute!

19.04.2012, skoro świt.